

Od autora: Trzecia część (prawdopodobnie przedostatnia, ale za to większa).
z góry przepraszam za niepotrzebne myśluki w niektórych słowach.

Zmęczony rozważaniami o znaczeniu odpowiedzialności pogrążył się w półśnie. Leżał w mroku, świadomość na tyle została wyłączona, że nie męczył się rozmyślaniami o dokonanej podłości. Jakoś wyciszył wyrzuty. Trwał tak niewiedomo jak długo. Dręczyło go okropne pragnienie, a właściwie jakaś sucha śmierdząca powłoka, która wyścielała usta i gardło. Jednocześnie odkrył, że leży na nieco mokrym prześcieradle. Czyżbym się zsikał? – Zwlókł się i napił wody z kranu. W klozecie strasznie śmierdziało. Ktoś zrobił kupę i nie spuścił wody. Nasikał na to wszystko i położył koło Rysia, który smacznie spał, jakby nie odczuwał żadnych dolegliwości.

Nieco rozbudzony nadział się na salwę straszliwych wyrzutów. Był już innym człowiekiem. Gwałt na Kiksie jeszcze niedawno niemożliwy, niewyobrażalny – teraz pasował do człowieka, który nie kieruje swoim postępowaniem. Porusza się w ramach zaspokajania najszerzej pojętych potrzeb fizjologicznych i przyzwyczajęń. W niektórych sytuacjach jest sterowany przez otoczenie, które w zrutynizowanym świecie nie zawsze dostrzega jego ułomność. Tak można prosperować.

Na szczęście te rozważania przeplatały drzemki i droga do zamachu na własne życie była kręta. W mieszkaniu było cicho. Czasami jakieś stęknienie, czkawka, wydmuchiwanie smarków z nosa, zawodząca bździna lub pierdnięcie i nagle łubudu do drzwi wejściowych, które nie były zaryglowane.

Niewiele było widać, ale sądząc po głosie i sposobie bycia musiała to być Figa, która po kilku dniach, wróciła od jakiejś rodziny. Poza jednym chrypliwym jękiem obrzydzenia, słyszeć było stuk otwieranych okien, szuranie ściąganych zasłon, strumienia wody z kranu.

Dokonując wstępnego odgruzowania Figa zapewne czuła się jak ci, którzy oswabadzali obozy zagłady. Szybko się zorientowała, że aby jakoś poruszyć te śmierdzące zwłoki, musi im przynieść coś do picia. Na dźwięk słowa „piwo” Rysio rzucił się do kuchni. Próbował naładować ogromną torbę pustymi butelkami, ale wymykały mu się z trzęsących rąk i straszliwie grzechotały. Po chwili słyszeli już na schodach przeźrliwy jazgot szkła. Niedługo potem dał się słyszeć piękny dostoyny odgłos stukających się pełnych butelek. To była wielka różnica.

Tucza po wypiciu paru butelek nabrał odwagi i oświadczył Kiksie na boku, że nie wie, co jej powinien powiedzieć, gdyż przez sen ją zerznął. Gdy zaczął rozumieć jakie brednie wygaduje usłyszał:

Na przyszłość wybierz bardziej sympatyczne okoliczności i daj mi szansę. Dobra w tym jestem... Ale z tobą dzieci nie będę miała. Na tym głupim świecie za mądrych uchodzą krety, którzy sprytnie posługują się paplaniną, pisaniną. Figa była rzeczywiście mądra. Wiedziała, że najbardziej przemyślane słowo, wypowiedziane w złym momencie jest niewybaczalną głupotą.

Szybko wrócili z Tuczą do domu. - Tak obrzydliwie wyglądasz, że nie jestem w stanie patrzeć na ciebie. Śmierdzisz. Idź do pracowni i nie pokazuj się, dopóki coś z sobą nie zrobisz. W kuchni jest wino i woda mineralna. Jedzenie w lodówce. O ile się opanujesz to w ciągu dwu, trzech dni staniesz na nogach bez większych wstrząsów. Jak przedawkujesz, stracisz tę szansę i wszystkie te męczarnie, które przeżyłeś w ostatnich godzinach pójdą na marne. Cześć, nie chcę cię widzieć. – Nic dodać nic ująć. Jest wspaniała – pomyślał.

Miał ponure doświadczenia. Koszmarne kace, jakże szybko zapomniane. Bał się obietnic składanych sobie. Taką obietnicę łatwo potraktować jako gwarancję poprawy. O co chodzi? – Nie ma sprawy. Nawet gdybym sobie pozwolił na „szturchańca”, nawet dwa. Oczywiście znowu „poszły konie po beton”.

Ale w takiej sytuacji, w jakiej był, gdy zewsząd otaczało go potępienie – jak sądził – w rozhisteryzowanym umyśle daleko większe, gdy był dla siebie sądem doraźnym, który wówczas nie widział okoliczności łagodzących, gdy przerażenie paraliżowało rzeczywiście i totalnie – można było od biedy trwać

w bezruchu. Był jednak z natury aktywny i gdzieś tam tkwiło przekonanie, że sam powinien coś zrobić. Wiedział, że musi działać jak saper. Trzeba było rozbroić koszmarnego kaca nie powodując zagrożenia – o ułamek zbyt dobrym samopoczuciem.

Tymczasem wróciły pijackie poty. Trząsł się cały. Aby uspokoić ręce, zacisnął jedną dłoń na drugiej. W kredensie, w kuchni znalazł parę butelek wina. Znalazł w szufladzie korkociąg. Ale jak go wprowadzić w miąższ korka, nie tłukąc butelki. Spocił się jeszcze bardziej. Jedna z butelek była otwarta. Korek ledwo był wetknięty. Nie było mowy o tym, żeby nalać wino do kieliszka, szklanki. Oburącz chwycił butelkę w spocone trzęsące ręce. Próbował pociągnąć haust z butelki. Szyjka obrzydliwie tłukła go po zębach. Nic z tego. Znalazł litrowy garnek. Nalał wina. Dolał wody z kranu. Powoli, z opartego o blat kantem garnka, oburącz go trzymając przelał zawartość do gardła. Beknął potężnie, ale był pewny swego. Nigdy nie rzygał. Co wlane to wlane. Powtórzył operację ponownie. Nie minęły dwie, trzy minuty, gdy całe ciało zaczął ogarniać błogi spokój, z czasem świat nie był już taki srogi, a co najważniejsze sam na siebie spojrział bez tej dzikiej wrogości. Figa kiedyś powiedziała, że jest ciężko chory, ale jest to choroba uleczalna. Może w tym coś jest.

Postępował metodycznie. Wysączył dwa szprycerski. To pozwalało mu się wykąpać bez groźby utonięcia. Gorąca kąpiel przyniosła rozluźnienie i senność. Wykorzystał uspokojenie rąk. Ogolił się. W lustrze zobaczył twarz mężczyzny o umarłych oczach. Ten tępy wyraz odpowiadał świadomości skrępowanej strachem przed prymitywną euforią, która czekała za trzecią szklanką szprycerka. Poszedł spać.

Były to płytkie, nerwowe drzemki, po których zapadał w krótką nieświadomość. Gdy ocknął się był dzień. W domu była cisza. Okazało się, że Figa gdzieś wyszła.

Nie miał siły umyć zębów. Przeplukał usta wodą. Pozbył się lepkiego osadu. Siadł na fotelu przy otwartym oknie. Co zrobić, żeby cokolwiek zrobić. Jedyne wysiłki, jaki był w stanie podjąć, to było wypicie wody z winem z garnka opartego o kredens. Przezornie poprzedniego dnia odkorkował butelkę. Teraz rano miałyby kłopot. Jednak tym razem trzęsły mu się też nogi, cały tułów był rozchwiany. Najpierw przyrzucił mieszaninę. Część wina rozlała się po blacie. Przystawił krzesło oparciem do kredensu. Klęknął na dużym siedzisku. Łokciami próbował oprzeć się na mokrym blacie. Omal nie spadł. Musiał powtórzyć próbę. Po odpoczynku, ponownie klęknął na krześle i osunął się na blat. Podciągnął łokcie. Szprycer na szczęście nie rozlał się. Przechylił garnek i wlewał zawartość do gardła. Miał już dosyć, ale lał jeszcze, żeby nie musieć klękać na krześle ponownie.

Pusty żołądek wypełniał się zimną cieczą. Skurczył się boleśnie. Ostrożnie zsunął się z krzesła i położył na ziemi. Ból powoli ustawał, ale rozpoczęła się czkawka. Rozcierał żołądek, zatrzymywał długo oddech. Czkawka ustabilizowała się. Była silna i rytmiczna. Doczołgał się do tapczanu, jakoś się wdrapał i usiłował wyłączyć świadomość. Nie miał siły początkowo naciągnąć na siebie kołdry. Na szczęście potwierdziło się, że co wlane to wlane. Alkohol dość szybko działał. rozluźnił się i nawet z przyjaznym współczuciem odniósł się do koszarnej czkawki. Po pewnym czasie łatwo już wstał i wlał w siebie jeszcze jedną porcję szprycera. Wszak haust zimnej cieczy to ludowy sposób na czkawkę. Nie tym razem. Ale organizm i umysł funkcjonowały już znacznie lepiej. Usłyszał, że przyszła Figa. Nie odzywał się. Poza czkawką. Figa bez słowa krzątała się po domu. Odbierała telefon. Stukały też garnki w kuchni. W końcu odezwała się. – Ja wychodzę. Masz w garnku gorący krupnik z masłem. Powinno pomóc. Wyszła. Kasza faktycznie pomogła. Czkawka ustała.

Tucza znalazł w kuchni wybite jajka i roztopione masło na patelni. Pod wieczór zjadł jeszcze ogromną jajecznicę. Znowu zasnął. Kolejny dzień zapowiadał się lepiej. Figa niczym dobry duch przygotowała znowu kaszę i jajka. Tucza – programowy wróg telewizji – przez cały dzień wpatrywał się w ekran. Ten ciąg głupot to znakomity sposób na przyhamowanie rozszalałego umysłu.

Następnego dnia natychmiast po przebudzeniu postanowił. Koniec ze strachami. Nic się nie stało. Jestem prawie zdrowy. Rozpoczęty artykuł łatwo skończyć. Sprawa jest jeszcze aktualna. Najpierw golenie. Kąpiel. Raz, dwa, trzy. Udało się. Najważniejsze, że bez szprycerka. Początkowo nie miał apetytu, ale ob-

jawiała się Figa. Jakby nigdy nic powiedziała: na obiad będzie rosół i sztukamięs. Tucza obzał się i zrobił się znowu senny. Wykap się jeszcze raz i możesz wrócić do naszego łóżka. Tucza jednak wypił mocną, czarną jak noc herbatę i ożywił się. Był pod wpływem narkotycznym, ale nie zdawał sobie z tego sprawy. Poczuł się pewniej, ożywił się.

- Podoba ci się? – Spojrzał na wielkie zdjęcie, na którym naga Figa siedziała, chyba na stole z rękami splecionymi z tyłu głowy. Duże kształtne piersi, ugięte pod swoim ciężarem miały piękną linię. Lekko wypukły brzuch ze śladami zdjętej przed chwilą gumki majtek zakończony na dole pierścieniami podświetlonych blond włosów, uda krągłe, gładkie, błyszczące. Nad tym wszystkim twarz spokojna, aczkolwiek oczy figlarne. Włosy z tyłu ściągnięte w ogon, związane wzorzystą chustką.

Zdjęcie wspaniałe. Baba jednocześnie nobliwa i rozpustna. – Musimy to szybko sprawdzić. Figa, jak się okazało, jakby przygotowana na taki rozwój sytuacji jednym ruchem ściągnęła sukienkę. Była goła. Gdy Tucza rozpiął koszulę ściągnęła z niego spodnie razem z majtkami. Cała powstała sytuacja była ogromnie ekscytująca. On miał wyprężonego ptaka. Ona, jak się okazało, miała cipkę pulchną i mocno wilgotną. Wjechał w nią od razu do oporu i miarowymi posuwistymi ruchami pompował, aż do eksplozji. On pierwszy doznał skurczów połączonych z obfitymi wytryskami. Ona to wyczuła i straciła resztki kontroli nad świadomością. Zapadła się w błogiej otchłani i kilkakrotnie jeszcze pogłębioonej do granic wytrzymałości.

Leżeli w bezruchu. Drzemali.

- Kto robił te zdjęcia? – Jest ich pewnie więcej?

- Andrzej. Od razu mówię wyraźnie – na zdjęciach się skończyło.

- Miałś opory?

- Przecież nagość w tym domu to normalka. Chodzimy na plaże naturystów. Z naszymi gośćmi bawimy się w gry rozbierane. Byliśmy tu parę razy nago z Andrzejem, jego żoną Jolą i innymi sympatycznymi ludźmi. To w końcu tobie stanął, gdy tańczyłaś z gołą Jolką. Pamiętasz wszyscy się śmiali, że jesteś „stójkowy”. Faktycznie tak było. Rozmowa się urwała.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że idziesz na gołe zdjęcia?

- To miał być portret. I jest udany. Tylko na początku pokazałam ci najbardziej ekstrawagancką fotografię. Jest dobra. Wcale nie żałuję.

- Masz rację zdjęcie jest znakomite. Faktycznie nie raz biegaliśmy nago z Andrzejem i Jolką. Nie wiem skąd ten odruch zazdrości... I cholernego podniecenia. Jak widzisz.

- Z zachwytem. Ja też byłam podniecona. Jak się rozebrałam u Andrzeja w pracowni, też byłam nagrzana. To co innego, gdy wszyscy biegamy na golasa, a co inne innego gdy on był ubrany, zajęty fotografovaniem, a ja całkiem naga. Zawsze byłam ekshibicjonistką. Jako dziewczynka udawałam dziecinną niewinność i pokazywałam się nago przy każdej okazji. To mnie rajcowało. U lekarza zawsze zdejmuję więcej ciuchów niż trzeba. Pod warunkiem, że facet się do mnie nie dobiera. Ordynarnie. Delikatnie, niby pieścizoty mogą być przyjemnie. Nie denerwuj się. Nigdy się nie pieprzyłam w gabinecie lekarskim. Andrzej zachowywał się jak profesjonalista. Nie bałam się swojego podniecenia, które było chyba niewidoczne. Rozbierałam się stopniowo. Widać to na kolejnych zdjęciach. Zdjęcie biustonosza jest drobiazgiem. Gdy doszliśmy do majtek, Andrzej jak fotograf patrzył na mnie z wyczekiwaniem. A ja zastanawiałam się czy stanąć tyłem czy przodem do niego. Demonstracyjnie stałam przodem. Później niby pokazywałam, że czuję się dobrze. Swobodnie

– w rzeczywistości moje pozycje zahaczały o pornografię. Gdy kładłam się na kozetce rozkrok niby przypadkowy pokazywał moją cipkę w pełnej krasie. Byłam faktycznie podniecona, ale nic więcej się nie stało... Ty też lubisz demonstrować swoje wdzięki. Wiem o tym i bardzo mnie to podnieca. Pamiętasz, jak zademonstrowałam Lili twojego sterczącego siusiaka, który zanurzał się w mojej cipce. Miała widok na całe twoje owłosione krocze. Nie musiała się długo onanizować. Spuściła się przed nami... No proszę na samo wspomnienie moje niewiniątko się najeżyło...

Faktycznie wspomnienia były podniecające, a jeszcze bardziej ekscytowało to, że Figa paplająca onanizowała się swoimi słowami. Byłem pewny, że jej „pieszczoszka” już dyszy.

- Siądź tak na mnie, jak na tym zdjęciu. Podnieś ręce za głowę.

- Maruudzisz...

Te karesy wyciszyły do reszty wszystkie napięcia i Tucza póki co został abstynentem. Postawił jakby tamy na wszystkich możliwych ciągach wydarzeń, które ostatnio doprowadziły do koszmarnej wpadki. Bez ostentacyjnego samopotępienia, ale i bez triumfalnego zadowolenia robił swoje i to z sukcesami. Faktycznie skończył artykuł. Dostał zamówienie na dwa reportaże. Konieczne były parodniowe wyjazdy. Wziął zaliczkę. Zebrał materiały. Napisał dwa świetne teksty. Dobry był. Wszyscy o tym wiedzieli. On też. Może przesadnie. Ale to przewartościowanie pozwoliło dojść do siebie w chwilach załamania. Cały czas był abstynentem. Wiedział jednak, że wystarczy jeden pozorny zbieg okoliczności i wszystko może stać się powodem do wychylenia „szturchańca”. Zapewne nie jednego.

Okoliczności mu sprzyjały, choć sukcesy są największym zagrożeniem dla początkującego abstynenta. Tucza dostał roczną ogólnokrajową nagrodę dziennikarską. Wprawdzie uhonorowano jego prace sprzed przynajmniej półtora roku, ale sukces był autentyczny, a chwała nie byle jaka.

Figa natychmiast chciała wydać uroczyste przyjęcie.

- Koniecznie zaprosz Argentyńczyka. Uciał sprawę Tucza. Aluzja była oczywista, ale gówniarska. Facet był po prostu serdeczny. Też lubił zabawę, ale nikomu wódki do gardła przez lejek nie pompował. Tucza dyskusji nie podejmował. W rzeczywistości miał żal, że jego abstynencja nie jest doceniana, on osobiście dopieszczany, a jeszcze tamte zdjęcia...

Bankietu jednak nie było. Tucza odrabiał zaległości w czytaniu. Zawsze kupował nowości wydawnicze z ambitnej literatury, historii współczesnej, dyplomacji. W czasie intensywnej zabawy odkładały się zapasy książek, które pochłaniał w czasach trzeźwości. Figa czytała masę pamiętników, popularnych książek historycznych. O dziwo potrafiła czytać na bani. Umiarkowanej.

Wówczas jednak tym bardziej, że dom funkcjonował bez problemów chciała zabawy. Przynajmniej rozryw-kowego towarzystwa. To niby nie było na przekór Tuczy, który jak mówiła, „stracił umiar w życiu godziwym”, ale była stęskniona za gośćmi i zabawą.

Kapitan był kobietą niezawodną, gdy ktoś sympatyczny potrzebował towarzystwa do zabawy. W nowej sytuacji Krystyna prawie nie rozstawała się z Figą. Popijały, przyjmowały gości. Czasami gdzieś leciały. Tucza brał w tym udział bez entuzjazmu. Nie to że potępiał panie, ale to była zabawa dla ludzi „na rausz”, a on zapamiętał się w trzeźwości.

Któregoś dnia położył się wcześniej spać w pracowni, podejrzewając że panie gdy wrócą będą wesole. Faktycznie obudziły go, choć starały się zachowywać cicho. W związku z tym, chodziły bez butów, na palcach, ale mówiły głośno.

- Zupełnie ci się chłop odmienił.

- Męczy mnie to, ale ma swoje dobre strony. Przede wszystkim Tucza odbuduje pozycję zawodową, a poza tym tak naprawdę po trzeźwemu jest dużo, dużo ciekawszy. Ma ogromną wiedzę, wyobraźnię i poczucie humoru. To prawdziwa frajda...

- Żeby ci czasami nie umknął. On lubi kobiety, a one go uwielbiają.

- Może masz rację, że za dużo już ma tej samodzielności. Na szczęście, czy nieszczęście nam już trudno uciec od alkoholu. A twoje, szatańskie szprycerki robią z człowieka bezboleśnie niewolnika. Kto mając do wyboru piekielne męki kaca czy niebiańską rozkosz nie sięgnie po szprycerka. Tym bardziej, że na tym poziomie teoretycznie można zachować rozsądek. Choć twojego Andrzejka musieliśmy pochować.

- Miał za słabe serce. Takie życie to jak ostra jazda samochodem z zaciągniętym do oporu ręcznym hamulcem. Twój póki co dobrze jedzie.

Tu zaśmiały się. Chyba normalnie. Ale Tucza był pewny, że tak szczebiocząc więdźmy na Łysej Górze. Wczoraj Figa na sympatycznej bani wspięta się na palce, objęła go za szyję i wypowiedziała z oddaniem

owo sakramentalne „kocham cię nad życie”. O czyje życie faktycznie chodziło?

Był porażony. Wprawdzie Figa do niczego go nie zmuszała i była najwspanialszym kompanem do zabawy, a samarytanką dla skacowanego pijaka, ale wówczas ocenił ją jako uosobienie perfidii. Gdy się trochę uspokoił, stwierdził, że faktycznie niezależnie od słów, które go poraziły, prawda była taka, że jego słabość była fundamentem stabilizacji Figi. Mógł zmienić życie. Praktycznie jedynie radykalne odstawienie alkoholu we wszystkich postaciach albo wahało od trzeźwości do pijaństwa. Na pierwsze rozwiązanie, jak sądził, nie było go wówczas stać. A skoro drugi wariant to tylko z Figą. Przyjemnie i względnie bezpiecznie.

Tak logicznie i uczciwie, w stosunku do siebie – postawienie sprawy pachniało trochę samobójstwem. Przez moment sam siebie próbował oszukać. Może to pijackie brednie, o których tylko on będzie pamiętał. Pomyślał o „szturchańcu”. Parę kielichów i sprawa pójdzie ad acta. Może przyłączyć się do pań. W ten sposób udałoby się ocenić, na ile były to słowa prawdziwe. Raczej realne, bo prawda była mglista. Tucza wstał. Był w górze od piżamy. Głosy dochodziły z łazienki. Panie siedziały w pustej wannie. Figa odkręciła sitko od prysznica i skierowała strumień ciepłej wody w cipkę. W ten sposób często się onizowała. Były widocznie „na bani”, ale w dobrej formie.

- Chodź do nas. Opowiadam Krystynie o aferze zdjęciowej... Mam dla ciebie niespodziankę... Zdjęcia twoich rodziców. Masz portreciki i postacie rodziców. Tak jak chciałeś. Przy torebce leży koperta. Zobacz.

Faktycznie były to powiększone fotografie rodziców sprzed lat. Figa zapamiętała na których zdjęciach mu zależało. Rodzice w kostiumach na plaży, na statku na Adriatyku, na werandzie w przedwojennym mieszkaniu. Jednak ta Figa nie jest potworem. Postanowił nie wspominać o podsłuchanej rozmowie. Tucza nie wziął udziału w kąpeli. Patrząc ze wzruszeniem, na fotografię matki, ojca, wybrane i wykadrowane przez Figę, dzięki niej pozyskane nie mógł jej traktować jako wroga.

Tucza miał bardzo osobliwy stosunek do nieżyjących już wówczas rodziców. Uwielbiał ich, szanował, choć wzajemne relacje miały bardzo specyficzny charakter.

Przed wojną rodzice po ukończeniu studiów, żyli z rozmachem na wysokim poziomie. Dom rodzinny zapamiętał jako siedlisko dobrobytu, ładu, życzliwości i uciechy. Gdy wybuchła wojna miał cztery lata. Ojciec jako zawodowy oficer znalazł się w oflagu, matkę na jego oczach aresztowało gestapo. Trafiła do Oświęcimia. Rozumiał co to znaczy. Rodzice przetrwali wojnę. Żyli względnie dostatnio, ale w porównaniu z okresem przedwojennym była to wegetacja. Pod wieloma względami. Szczególnie ojciec bardzo znacząca osoba w sprawach technicznego wyposażenia wojska, swego rodzaju dygnitarz – stał się urzędnikiem w zjednoczeniu odlewniczym. Tucza kochał i podziwiał rodziców za to przede wszystkim, że po koszmarnych przeżyciach wojennych, po utracie dobrobytu, majątku, swego rodzaju pozycji społecznej – nie utracili godności, tolerancji i pogody ducha.

Tucza pochodził z katolickiej rodziny, został przed wojną ochrzczony. Po utracie rodziców wydawało mu się, że w tej strasznej potrzebie powinien być jak najbliższy Boga. Babcia osobiście uszyła mu komżę i chłopię jako ministrant zaczął uważnie słuchać ewangelii, kazań, przypatrywać się obrzędowi liturgicznemu. Powoli, ale stanowczo stwierdził, że gotów jest może uznać Boga za stwórcę świata, nie mógł jednak uwierzyć, że ów demiurg ma najgorsze ludzkie cechy, jak zaborczość, zawiść, nietolerancja. Nie mógł pojąć jak Stwórca może wygłupiać się i dochodzić, czy mały chłopiec wierzy w to czy nie. Był przekonany, że taki wizerunek Boga – na swoje podobieństwo – stworzyli ludzie dla własnych interesów. To takie prostactwo. Wszak do wiary, miłości nie można się zmuszać. Wprawdzie kochał dziadków i miał do nich zaufanie, ale w tamtych czasach nie wyobrażał sobie jak można się przyznać do niewiary. To była jego pierwsza ważna tajemnica. A jednocześnie pierwszy stopień swoistej samodzielności.

Tak trafił do pierwszej spowiedzi, gdzie dowiedział się, że to co z radością robi z chłopakami i Jareczką jest straszliwym przewinieniem. Na podstępne pytanie księdza, czy dotyka miejsc wstydlivych powiedział, że oczywiście bawi się siusiakiem z dwoma kolegami w szopie. Koledzy się spuszczały i mieli włosy

na brzuchach. Tucza nie miał jeszcze włosów ani lepkiego śluzu, ale siusiak mu twardniał, miał stany błogości. Lubił też jak koleżanka Jareczka ściąga mu skórę z fiutka. On jej wtykał delikatnie pośliniony palec w siusiawkę. Ksiądz był bardzo srogi. Nakazał surową pokutę. Tucza pokutę olał, ale do komunii pójść musiał bo wszyscy patrzyli. Był pewny, że pycha ludzi, którzy uważają, że dla prawdziwego Boga takie duperele mogą mieć znaczenie jest właśnie świętokradztwem.

Gdy rodzice później dowiedzieli się, że młody gimnazjalista, zrezygnował z lekcji religii – zgodnie z ostatnimi przepisami – sprawa była przesądzona. Tucza pozostał ateistą i rodzice przyjęli to do wiadomości. Ojciec był zawsze „bezbożnikiem” i tu konfliktu nie było, natomiast matka była tolerancyjną, praktykującą katoliczką. W każdym bądź razie w procesie edukacji i wychowania Tuczy nie odwoływano się do nauk Kościoła, do żadnych przykazań. rodzice wywodzący się z tradycji pozytywistycznych szanowali przede wszystkim naukę, wiedzę, odpowiedzialność, tolerancję. Słowo honor nie było nadużywane, ale znajdowało się na najwyższym piedestale. Terminologia katolicka pojawiała się jako odniesienie do obyczajów związanych z Bożym Narodzeniem, czy Wielkanocą.

Niedługo trwała ta sielanka rodzinna bo Tucza mając piętnaście lat zdał maturę i wyjechał na studia politechniczne na Wybrzeże. Bez przerwy stwarzał kłopoty, które starał się sam rozwiązywać aby nie sprawiać kłopotu rodzicom. W rzeczywistości brnął w sytuacje, które mogły się skończyć tragicznie, ale młody człowiek chodził dumnie z tarczą.

Piękny młodzieniec wdał się w amory z królewną prostytutką w Trójmieście. Wprawdzie szczerą miłością i edukacją seksualną raczyła go bezpłatnie, ale nasz bohater zaczął bywać w nocnych knajpach, na co nie starczało stypendium, jakie dostawał od rodziców. Chodził więc pracować do portu przy rozładunku statków. Dla kilkunastoletniego młodzieńca była to praca zbyt ciężka i ryzykowna. O mało co nie stracił dłoni przy rozładunku metalowych łóżek. Poza tym, ponieważ noce spędzał na miłosnych zapasach, wesołej zabawie, lub harując w porcie – groziła mu śmierć z wycieńczenia. Sprawa wyglądała faktycznie drama-tycznie. Rodzice wykorzystali swoje koneksje i Tucza został przeniesiony na politechnikę w Stolicy. Tu młody człowiek zasłynął z wielkich zdolności i awersji do dyscypliny. Wówczas to Ojciec stanął przed rektorem rzucając na szalę synowski honor. Tucza został relegowany. Poszedł pracować do znanego biura projektów, gdzie jego talent i zdolności doprowadziły, że został wraz z zespołem uhonorowany doroczną nagrodą państwową w dziedzinie nauki i techniki. To było coś. Rodzice znali tylko jednego takiego laureata. Mało, niewielu takich było wśród profesorów i wykładowców polibudy. Został rzecz jasna znowu przyjęty na studia. Wszystko szło dobrze i płynnie do momentu, gdy okazało się, że Tucza ma narzeczoną. To wygląda na dziwoląg językowy, ale faktycznie tak się rzeczy miały. Było to w dniu zakończenia roku akademickiego. Tucza poznał Izę piękną dziewczynę, za którą się wcześniej oglądał. Okazało się, że piękność jest okrągłą sierotą, która została wylana z Politechniki. W tamtym momencie straciła również miejsce w akademiku. Wcześniej stypendium. Tucza miał pokój sublokatorski, ale nie mógł tam zabrać dziewczyny. Pojechali na przedmieście, gdzie był w baraku dom dla asystentów politechniki. Jednym z nich był kolega Tuczy, ale wyjechał na wakacje. Chyba na szczęście. Tucza wyważył okno i narzeczeństwo stało się faktem. Następnego dnia przywieźli elegancką, koronkową pościel Tuczy. Mieli wszystko prócz pieniędzy. Tucza zajął się przemysłem. Ucierpiały na tym studia. Związek z Izą trwał parę lat. Dzięki temu skończyła studia, stała się członkiem rodziny. Wyszła potem za mąż.

Rodzice ubolewali nad tym, że studia nie przebiegają planowo, ale czy mogli potępić syna? – Nie było o tym mowy. Znacznie później Tucza miał podobny romans. Wybranką była piękna rozwódka, z dwojgiem dzieci, ale bez mieszkania i środków do życia. Wówczas Tucza który dawno skończył politechnikę, zaocznie prawo na uniwersytecie i przymierzał się do doktoratu, musiał zostać przedsiębiorcą, żeby sprostać sytuacji.

Tak więc stosunki z rodzicami nie były formalne. Opierały się na realiach do granic wytrzymałości. Zdjęcia umieszczał na miejscach gdzie najczęściej przebywał. Później Figa zaproponowała, żeby dwa portreciki przenieść na eksponowane miejsce do salonu. To nie była zagrywka. To był gest mądrej, czulej

kobiety.

Aby całkowicie odzyskać równowagę życiową musiał załatwić sprawę zębów. Zrobił to po swojemu. W szpitalu na chirurgii szczękowej pod narkozą, za jednym razem usunięto mu wszystkie zęby. Niebawem wstawiono mu nowy garnitur, który nie psuł się i nie bolał. Co za życie.

Tuczy zaproponowano reprezentację na obchodach święta wojskowych dziennikarzy na Bałkanach. Przedsięwzięcie było o tyle ryzykowne, że obchody służyły z gościnności polegającej między innymi na obfitości trunków. Tucza misję przyjął. Figa życzyła mu udanej podróży jak gdyby nigdy nic. Robił dobrą minę do złej gry. Figa odwiozła go na lotnisko, serdecznie się ucałowali i poleciał. Na miejscu powitali go wysokiej rangi oficerowie. Oświadczyli, że ich wspaniałego gościa nie dotyczą żadne przepisy celne, ani paszportowe. Najważniejsze jest serdeczne powitanie. Zaprowadzili do eleganckiego saloniku, gdzie chłodził się szampan. Były też wszystkie możliwe trunki. Mocne i słabe. Na zakąskę proponowano słodczyce, w szczególności różnorodne wyroby czekoladowe. Tucza od razu pojął, że jakakolwiek próba lawirowania byłaby żalosna i nieskuteczna. Można było jedynie mężnie walczyć o przetrwanie. To były dziesięciodniowe obchody. Poza trzema dniami w stolicy, gdzie pod okiem ministra zachowano jako taki umiar, nasłupnie podejmowali Tuczę znudzeni dowódcy okręgów wojskowych, dla których była to okazja do urządzania orgii bizantyjskich. Na nieszczęście oni się zmieniali a Tucza cały czas balował. Schemat obchodów był podobny. Po „szampańskim” powitaniu kolumna limuzyn ruszała do jakiegoś pałacu. Kawalkadę zamykały furgonetki z damami i orkiestrą. Zabawa trwała do białego dnia. Tucza zasłynął jako znakomity kompan, czego można było oczekiwać, ale też jako najdziwszy tancerz w bałkańskich korowodach. Na noc wspaniałe damy odprowadzały kochanego gościa do wielopokojowych apartamentów urządzonych ze wschodnim przepychem. Tucza niewiele pamiętał z dalszych wydarzeń. Jedno wywalczył, że na dzień dobry wypijał szklanice szampana bez spirytusu. To był jeden wielki bal. Tucza znalazł się znowu w samolocie. Ci sami oficerowie otworzyli mu jeszcze parę butelek na drogę, żeby wszystko dobrze wspominał. Częstował chętnych współpasażerów.

Gdy ocknął się, siedział już na sali odpraw celnych. U góry przy barierze stała wystrojona Figa i dawała mu porozumiewawcze znaki. Zwłókl się z fotela. Nic nie miał do oclenia. Figa stała tuż przy bramce. Ucałowała go serdecznie. – Pospiesz się. Przyniosłam ci świeżą koszulę. Szybko się przebierz... Idziemy na bankiet... Wszyscy czekają...

Jadąc do Bułgarii Tucza wiedział jak wygląda gościnność znudzonych wojskowych z południowym temperamentem, umiłowaniem śpiewu i tańca. Wszystko jednak mogło odbyć się regulaminowo, powściągliwie. Ale nie z Tuczą, który słowo „powściągliwość” traktował w takich sytuacjach jako dowód wynaturzenia.

- Jesteś najdzijszym tancerzem i zapiewają – mówili z uznaniem gospodarze.

Faktycznie Tucza z lubością wkładał wszystkie siły w uniesienie, którego tam doświadczał. Gdy później opowiadał o tamtym „balu” – prostodusznie konkludował: „w końcu cała bałkańska armia starała się najlepiej te Dionizje przygotować”. Trzeba było być profanem by nie włączyć się w obchody całym sercem i zamiast „dać ognia” – zostawić płamę.

- Nie szkoda zdrowia? – powątpiewali sceptycy?

- Widziałeś kiedyś maratończyka podczas biegu, jak on strasznie cierpi, jaki ma grymas bólu, a potem musi parę miesięcy regenerować siły. Ja w czasie balu mam naturalnie twarz uradowaną, a po trzech dniach mógłbym zaczynać od początku. To nie o to chodzi żeby „pójść w szkodę” – to sposób życia. Impulsywnie, z pasją. Przy tym sposobie bycia można stworzyć wielkie dzieła, ale kariera jest wykluczona. Tucza w pracy był profesjonalistą. Skoncentrowany, pracował bardzo szybko i wydajnie. Ten wydawałoby się bałaganiarz, nie dbający o szczegóły, często cytował fragment piosenki Okudżawy „robotą jest robotą – coś takiego” – co miało oznaczać, że chałtura nigdy u niego nie wchodziła w rachubę. Natomiast po słowie kariera robił jedynie grymas obrzydzenia. – Jest to podporządkowanie działania ambitnego – zewnętrznym efektem. Liczy się radość i własna satysfakcja z dzieła. Oczywiście uwielbiał poch-

wały i wyróżnienia pod warunkiem, że dotyczyły osiągnięć, które cenił. Lubił powtarzać, że „kariera to prawdziwy samogwałt, w przeciwieństwie do onanizmu, który z reguły nie jest działaniem wbrew sobie”. Tak zwane wyścigi szczurów to największe upodlenie człowieka. Cenił rywalizację, współzawodnictwo, ale gardził ciągłym „ściganie się”.

Nade wszystko kochał kontemplację, ową zadumę, która nie musi natychmiast przekształcić się w działanie, decydowanie, walkę.

To nie były jałowe rozmyślanie. Jako dziecko – ministrant, po wielu zakrętach, na zawsze ustalił swoje stosunki przede wszystkim z religią. Rezultat trzeba nazwać wrogością. Jako starszy pan, gdy mieszkał w swoim domu na wsi, godzinami potrafił siedzieć w fotelu na tarasie. Na niebie zawsze coś się działo. Obłoki, ptaki, lotnie, smugi samolotów. Na wsi niebo jest ogromne. Pobliski las jak uśpieni rycerze stali nieruchomo. Z kilkuset metrów nie było widać, że gałęzie się prężą, liście trzepocą, tylko igły sosen są pewne swego. Tak wygląda to odkąd sąsiad sprzedał krowę – cisza była absolutna. Nie zupełnie Tucza kupił sąsiadowi koguta. Jego pianie było optymistyczne, aczkolwiek chyba w czymś przypominało

Marsz żałobny Liszta. Nowe nagranie docierało z mieszkania. Tucza sądził, że to dobry utwór na uroczystość pogrzebową po jego śmierci. Urna z prochami w ukochanym ogrodzie. Ekran telewizyjny, z którego Tucza wygłosi mowę. Nie pogrzebową. To będą wspomnienia z burzliwego życia. Pochwała wolnomyślności, pijaństwa, niecierpliwej huci. I takie tam... będzie mimo wszystko zgorszenie. Tym bardziej, gdy się wyda, że na posesji stoi pomnik Bolesława Śmiałego, jedynego polskiego króla, który miał właściwy stosunek do katabasów. Trzeba pos-tawić ten pomnik Tucza miło rozmyślał, ale czas leciał i owa uroczystość stawała się bliższa. Lepiej się przenieść myślami na najbliższy urlop.

Wówczas, po Bułgarii, postanowili z Figą wyjechać na wypoczynkowy pobyt nad morzem. Prowadzili się dobrze. Tucza dużo pisał. Pewnego dnia chciał pokazać jej wschód słońca nad morzem. Poprzedniego dnia zagrzebał w mokrym piasku parę butelek cinandali. Dalszy ciąg tamtych wydarzeń rozpoczyna to opowiadanie. Tam wówczas nad morzem, na trawniku między bulwarem a dziką plażą – Figa i Tucza zmęczeni upałem poszli się wykąpać. Na golasa ułożyli się na płaszczyźnie. Delikatne fale omywały nagrzane ciała. – Nakrzyczałam na ciebie, że czar wschodu słońca wzmocniłeś winem, ale jak pomyślę o tych wszystkich wczasowiczach, którzy nigdy tego, w taki sposób nie zobaczą. A gdyby nawet – to powiedzą, że to ładne – jak z obrazka, albo zagranicznej pocztówki. Faktycznie oglądali tamten wschód od początku zachwyceni, ale wraz z wypitym boskim – jak mawiał Tucza - cinandali dostrzegali coraz więcej szczegółów, powstawały niezwykle skojarzenia. Mieli świadomość tego, że jest to swego rodzaju egzaltacja, ale doznania były autentyczne i pozostały na długo w pamięci. Za nadużycie alkoholu płaci się paskudnym kacem, ale na tej ziemi za wszystko trzeba zapłacić.

Tucza – w końcu wrażliwy facet z dużą wyobraźnią kochał życie we wszystkich możliwych formach i potrafił je smakować ze znużeniem – uważał jednak, że alkohol wzmacnia doznania, podkreśla kontrasty. Widziane w ten sposób robią większe wrażenie i utrwala się w pamięci. To tak jakby oglądać świat przez jakąś soczewkę. Alkohol uwalnia świadomość od mułu codzienności., eliminuje troski od spraw nieważnych, wycisza lęk przed zagrożeniami.

Tucza nigdy nie „zalewał robaka”, nie pił ze strachu przed życiem. Wręcz przeciwnie. Uważał, że problemy trzeba rozwiązywać po trzeźwemu. Alkohol jest tylko dla zdrowych i zadowolonych. Ale jak zabawa – to zabawa. Również radosna ekstaza wymaga ochrony przed „gównem” codzienności. Alkohol zbliża ludzi. Na bani czuje się „na wylot” braterstwo w uniesieniu, choćby podczas pieśni biesiadnych.

Gdy Tucza śpiewał z Hipkiem z całej siły ... a to ułaa-ni, ułani, patrząc sobie w uniesieniu w oczy, profan powiedziałby „wariaci”, a oni po prostu zaglądali naw-zajem w swoje dusze.

Gdyby ktoś wątpił, Tucza opowiadał o przygodzie z gruzińskim bradiagą. Spotkali się jako turyści na Kaukazie, nad przepaścią, do której przytuliła się piękna dolina. Przezorny Tucza miał baniaczek, właśnie z cinandali, z którego pociągał. Gruzin o sympatycznej gębie łykał spod oka. Łakomie. Tucza go poczęstował. Tamten w skupieniu sączył długą chwilę. Potem stał kontemplując z zamkniętymi oczami. Od-

dając baniak, spojrzał smolistymi oczami z takim żarem, że czuło się jego gorące wnętrze. Widać było, że szuka słów stosownych, by wyrazić wdzięczność i uniesienie. W końcu powiedział: kak haraszo puticze-stwowat, co przekłada się na polski: jak wspaniale jest podróżować. Ale to jest już żargon z ulotki reklamowej, a w rzeczywistości było to wyznanie przyjaciela. Dwukrotnie z głębokim podziwem oglądał Kaplicę Sykstyńską, ale ostrzej pamiętał wzruszoną gębę briadiagi Gruzina nad uralską przepaścią. Taka jest prawda. Po prostu.

Miał jednak wryte w jestestwo przerażenie pochodzą-ce z koszmarnych doświadczeń pijaństwa na umór u Argentyńczyka. Tylko do zabawy, tylko w pogodnym nastroju można pić, aby wzbogacać stan szczęśliwości.

Na wszelki wypadek Tucza zerwał bezwzględnie kontakty ze wszystkimi, których posądzał o skłonność do picia dla utraty świadomości. Jednocześnie rozpoczął aktywnie uprawiać sporty. Tenis, pływanie, narciarstwo, łyżwy. Była to znakomita zaporę przed transami alko-holowymi. Żyli więc od wzlotów do upadków, od nędzy do pieniędzy – jak mawiała Figa. Tucza czasami buńczucznie oświadczał, że pije, żeby stracić resztki umiaru. Faktycznie, na bani zachowywał się przesadnie elegancko, a ten ekstremalny brak umiaru sprowadzał się do wielokrotnego nastawiania ulubionych melodii, lub głośnego śpiewania ułańskich piosenek.

W rzeczywistości manifestował pogardę do różnych ograniczeń, zakazów, jakie ludzie nawzajem sobie nachalnie narzucają.

Zarówno ich goście, jak i większość sąsiadów to była bohema – w pozytywnym znaczeniu słowa. Nie dost-rzegali często granicy między dniem i nocą. Przede wszystkim często pracowali w nocy, ale na przykład Tucza jeździł w nocy na tenisa, na basen – bo nie było wówczas tłoku. Zwyczajowo grupa sąsiadów odbywała wspólny spacer z psami późną nocą. Było to zabawne i miłe.

Byli w tym towarzystwie ekscentrycy, ludzie z fantazją. Tucza przodował w ekstrawaganckich pomysłach. Figa często była wściekła z tego powodu, ale później z pobłażaniem i śmiechem opowiadała o nocnych powrotach ukochanego.

W paru dorożkach z orkiestrą cygańską, pługiem śnieżnym. Kiedyś Tucza pojechał na wybrzeże jako towarzysz ważnej zagranicznej osoby. Po dwu dniach osoba pojechała dalej, ale Tucza spotkał znajomych i balował. Gdy mu się skończyły pieniądze, a miał jeszcze nieuregulowany rachunek w hotelu - wysłał do kilku znajomych telegram z prośbą o pieniądze. Tak się złożyło, że jednocześnie dostał przekazy od kilku osób. Wówczas można było pójść na całość.

Figa miała masę pracy, nie martwiła się o ukochanego, bo od znajomych wiedziała, że miewa się aż za dobrze. Była jednak wściekła i rozżalona, ale gdy w otwartym oknie ukazała się ogromna łyżka koparki, w której stał zniebożony Tucza z ogromnym bukietem róż, Figa najchętniej straciłaby szalawilę na zbyty łeb. Ale uważała, że wywinął numer z klasą, przynajmniej na finiszu i jako wytrawna bankietownica patrzyła na popisy z uznaniem.

Gdyby wiedziała jak sponiewierany był luby, który przehulał wszystko do cna i na strasznym kacu musiał wracać nocnym, osobowym pociągami. Jęzor mu wysechł i chyba szeleścił ocierając się o wewnętrzną stronę policzków przypominającą papier ścierny.

W przedziale była kobieta z nieznosnym bachorem, który wrzeszczał i odpychał butelkę z chłodnym soczkiem, jak zapewniała opiekunka. – Uduśczę skurwiela i wydudlę całą butelkę soczku chłodnego.

Ulgą było skojarzenie z chłodnymi bryzami morza, gdy po wyjściu nad ranem z knajpy kąpali się na hotelowej plaży. I ta tajemnicza, jakby nieobecna zawsze dziewczyna, którą w ciągu ostatnich dni spotykał w różnych okolicznościach, a która wówczas ubrana stała na brzegu. Gdy Tucza wychodził rozbawiony z morza powiedziała – „miałam cię za wariata, a ty po prostu kochasz życie. Zazdroszczę”. To wspomnienie złagodziło mordęgę we wlokącym się pociągu z bachorem, który miał pełną gębę mokrej śliny i nie chciał soczku. Tak czy inaczej, Fidze należało się odpowiednie powitanie. Jak gdyby nigdy nic.

Tucza był z natury solidny i jak zabałaganił, to dawał znać. Bywało, że były to dobre chęci. Wracał pieszo z redakcji do domu. W pobliżu, po drodze była winiarnia, z której dochodziły znajome odgłosy. Wstąpił na chwilę, która się bardzo przedłużyła. Figa mająca przeczucie i doświadczenie poszła na wszelki przypadek do winiarni. Tam została wylewnie powitana przez znajomą kompanię, a zatroskany Tucza powiedział: jak dobrze, że przyszedłeś, bo tak się martwiłem, że mnie jeszcze nie ma w domu. Figa przyłączyła się do kompanii.

Podróżowali dużo i z przygodami. Wybierali się do Szwecji, ze znajomą. W trójkę. Poprzedniego dnia zabalowali. Tucza bardziej niż panie. Rano mieli pociąg na wybrzeże, skąd odpływał prom. Wszyscy zaspali. Tucza ocknął się ledwo przytomny i oświadczył, że skacowany, nieogolony nie da się zamknąć w pociągu. Panie zmaltretowane z wysiłkiem, w ostatniej chwili dotarły na dworzec kolejowy. Ledwo żywe osiągnęły przystań promową, gdzie oniemiały. Odświeżony, elegancki Tucza zabawiał na tarasie restauracji towarzystwo opowieścią o dwu sympatycznych paniach, które nieogolone, niewyspane goniły pociąg, podczas gdy on wyspał się, wypił szprycerek i od razu pojął, że musi zamówić taksówkę. Wyszyskował się bez pośpiechu. Okazało się, że taksówkarz zabrał żonę. Chciała się przejechać nad morze. Pani była rozrywkowa, tak że ucieszyła się, gdy Tucza wydobył z walizki trunki przeznaczone na prezent w Szwecji. Oboje dobrze bawili się na tylnym siedzeniu, a taksówkarz pochłaniał kilometry i o dziwo usiłował brać udział w wesołej rozmowie. Na przystani Tucza chciał gdzieś usiąść i poczekać na zmaltretowane panie. Jednak jedynie godziwe miejsce było na tarasie w knajpie. Nie wiedział, że będzie miał ciężką noc. Gdy wieczorem na promie w restauracji jedli kolację, rozszał się sztorm. Większość pasażerów schroniła się w kajutach. Tucza uznał, że walka z żywiołem wymaga odpowiedniego trunku. Gdy z barmanem ustalali szczegóły, nagły przechyl spowodował urwanie stołka barowego. Oderwało się krzeselko, na którym siedział Tucza. Fotelik niczym bobslej ślizgał się po posadzce baru. Rozbawiony Tucza wygodnie siedział z kieliszkiem w ręku. Gdy miał pusto wzywał kelnera a ten z butelką biegł za bobslejem, aby napełnić kieliszek. Szybko nabrał wprawy. Później Tucza opowiadał, że uwielbia sztormy. Ci, którzy znali szczegóły uśmiechali się przyjaźnie, być może z podziwem.

Gdy jechali na południe Europy popsuł się im samochód. Szybko się przepakowali i ruszyli dalej pociągiem. Po przesiadce okazało się, że nie ma dla nich miejsca w normalnym wagonie sypialnym. Jednak Tucza znalazł jakiś super przedział z łazienką, klima-tyzacją i innymi niezwykłościami. Wciągnął tam Fige i zaryglował drzwi. W żadnym przypadku nie stać ich było na taki luksus. "Rozbieramy się do golasa i otwieramy wino. Gdy przyjdzie konduktor ukaż mu się w pełnej krasie i zrób awanturę w języku, którego nie ma". Udało się. Konduktor wycofał się z ukłonami mimo, że wymyślony przez nią język był ewidentną lipą.

Tucza uwielbiał podróżować wagonami restauracyjnymi. Bywało, że towarzystwo tak się rozbawiło, że już po osiągnięciu stacji docelowej bal trwał gdzieś na bocznicach. Oczywiście wraz z obsługą wagonu.

Podobno w drodze do Moskwy Tucza w doborowej kompanii ogołocił z alkoholu rosyjski wagon restauracyjny. Kierownik chciał popełnić samobójstwo. Żeby w radzieckim wagonie restauracyjnym rozbito bank z gorzałą. Zgroza. – Wy winowat – zrozpaczony, ale pełen respektu wskazywał na Tuczę. Na szczęście na najbliższej stacji zapasy uzupełniono. Podróż przez rosyjskie równiny odbywała się już bez zakłóceń.

Tucza w podstawowych sprawach był bardzo odpowiedzialny i wiedział, że w ich przypadku spłodzenie dzieci i próba ich wychowania byłaby karygodną dezynwolturą. Lubił dzieci, z wzajemnością, ale tak naprawdę nie zazdrościł potomstwa nikomu ze znajomych. Miał dwu synów z dwoma zameężnymi paniami, ale nikt poza nim i matkami nie wiedział o tym. Tak miało pozostać.

Uważał, że każdy ma prawo wybierać własny sposób życia, byle to nikomu nie szkodziło.

Ponieważ Figa na początku ich znajomości powiedziała, że nie chce mieć dzieci, mogli balować bez niczyjej szkody.

Kiedyś pod koniec lata siedzieli w dużej kompanii w ogródku kawiarnianym. Wspominali urlopowe przy-

-gody. Dawno nie spotykali się w większym gronie. Jak zwykle było głośno i wesoło. Przechodzili dwaj księża i surowo na nich spojrzeli. Jakiś dowcipniś powiedział: - Figa i Tucza podpadli. Od kilkunastu lat żyją na kocia łapę.

- No to mamy wesele. Dość tych wakacyjnych wyglu-pów. Trzeba się brać za prawdziwą ostrą zabawę. Kiedy bierzecie ślub?

Figa i Tucza dobrze się ze sobą czuli, nie odczuwali potrzeby legalizowania związku, ale na pytanie: dlaczego nie? tylko coś nieporadnie mamrotali. Właściwie przyjaciele wzięli sprawę w swoje ręce. Wybrali termin. Ułożyli listę gości. Oczywiście ślub miał być cywilny. Nikt w tym towarzystwie i chyba w środowisku nie chodził do kościoła. Przed uroczystym dniem panie piekły mięsa, przygotowywały przystawki. Panowie przygotowywali alkohole. Tucza przezornie nie dotykał trunków. Reszta była na permanentnej bani. Uroczystość wypadła wspaniale. Państwo młodzi jako jedyni zachowali całkowitą trzeźwość. Rzecz jasna do czasu. Reszta weseliła się już w urzędzie. Wszystko odbyło się elegancko i z rozmachem. Kawalkada samochodów i dorożek przewiozła gości do pobliskiego domu, gdzie mieszkali Figa i Tucza. Nie zapomniano o orkiestrze cygańskiej, a może sami cyganie zwietrzyli gody stałego klienta. Bal odbywał się w mieszkaniu nowożeńców, u Hipka i u młodej plastyczki, która była biernym uczestnikiem wszystkich bankietów. Całe piętro zabytkowej kamienicy. Do tego klatka schodowa i różany ogród na podwórzu. Ze wszystkich okien słychać było muzykę. W przyległych domach zamieszkałych przez tak zwanych znajomych z widzenia wyglądali sąsiedzi. Też bohema. Jedni śmiali się, bili brawo, inni przychodzili złożyć życzenia i na kielicha. Trwało to parę dni z indywidualnymi przerwami na pilną pracę. Potem wszyscy posmutnieli. Wiadomo było, że nigdy już takiego bankietu nie będzie.

To prawda, ale całe to towarzystwo spotykało się na dorocznych balach dziennikarzy, plastyków oraz tajemniczej instytucji Wydawnictwo Artystyczno-Graficzne, po prostu WAG, gdzie byli wszyscy, którzy coś w kulturze znaczyli, gdzie Figa i Tucza byli zapraszani do stolika ówczesnego premiera.

Figa każdorazowo szła sobie sama kreację. Z oszczędności i fantazji. Bywało, że zbliża się godzina rozpoczęcia balu, a Figa raz goła, a raz w fastrygach. Obracało się to na ich korzyść, bowiem ci którzy przychodzili na bal za wcześniej często byli urzędnici, nim zabawa się rozpoczęła.

Ślub, rzecz jasna, nic nie zmienił w ich życiu. Było one przyjemne, na swój sposób ambitne i pożyteczne. Tucza skończył zaocznie prawo. Pisał dobre opowiadania, myślał o doktoracie. Trzymał się zasady alkohol do woli, ale tylko do zabawy. Jak najczęściej sport. Parę osób z bliskiej kompanii pożegnali na zawcze. Piękna wyuzdana Lili popełniła samobójstwo, doktor Popiół zmarł podczas snu na wylew, parę osób zmarło na zawały. Dwa jakże różne co do charakteru i wagi wydarzenia zdecydowały o ich losach.

Tucza miał kawalerkę w centrum miasta. służyła jako pracownia, lokum gościnne, albo jako miejsce gdzie można było pobyć w samotności. Kiedyś w nocy zmęczony podróżą przez cały kraj, na małej bani postanowił tam zanocować, ewentualnie pobyć dzień dwa właśnie w samotności. Na miejscu zadzwonił do Figi.

- Jestem już. Strasznie zmęczony. Jutro się odezwę, albo przyjadę. Późnym popołudniem następnego dnia, na korytarzu przed drzwiami wejściowymi do kawalerki stała grupa zdenerwowanych ludzi. Rano Tucza się nie odezwał. Figa zadzwoniła do niego, ale telefon się nie odzywał. Bez żadnych konkretnych podejrzeń pojechała tam. Próbowwała zadzwonić, ale dzwonek był zepsuty. Początkowo stukała do drzwi. Ale gdy wydawało jej się że czuje gaz zaczęła walić. Wyszli sąsiedzi. Potwierdzili, że pachnie gaz. Wezwano dozorcę, który bezskutecznie próbował otworzyć drzwi wytrychem. Poproszono faceta, który z niewiadomych powodów nazywany był włamywaczem. Ten wraz z dozorcą wyważył drzwi. Na progu stał upiór. Nagusieńki, rozczochrany, zarośnięty, oczy „w ślup”, usta pokryte łuską, twarz bez wyrazu. Mimo, że pod drzwiami były już też dzieci, nikt nie zwracał uwagi na gołe „klejnoty” Tuczy, zresztą strasznie zniebożone. Upiory nie mają płci, a zjawy nie przypominała sąsiada. Ktoś przyniósł krzeselko. Upiór usiadł. Był sztywny, nieruchomy. Otworzono szeroko okno, na klatce schodowej i w mieszkaniu. Wydawało się, że Tucza stara się głęboko oddychać. Pogotowie już jechało. Wówczas z Figi „wyszło po-

wietrze”. Siadła bez słowa na schodach. Cały czas śmierdzał gaz.

- Mieliliśmy szczęście, że nie zapalił papierosa. Wybuch rozpieprzyłby całe piętro.
- Może przeżyje. Mocno oddycha.
- Na samobójcę nie wyglądał.
- Skąd, tylko zabawę miał w głosie.
- Jak ładnie opalony na całym ciele.

Przyjechało pogotowie. Figa ocknęła się, przyniosła jakiś płaszcz i nakryła Tuczę, który wyglądał już na przytomnego. Sanitariusze wstawili go do windy z krzeselkiem. Karetka stała tuż przy drzwiach wejściowych. Tucza chciał sam wejść, ale „łapiduchy” prze-nieśli go na noszach. Ambulans jechał przez miasto na sygnale. W izbie przyjęć była młoda, przystojna lekarska. Z Tuczy zsunął się płaszcz. Leżał goły na leżance. Faktycznie ładnie opalony. Sanitariusze powiedzieli, że przywieźli samobójcę. Zrobiło się małe zbiegowisko. Lekarka jednak wszystkich wygoniła. Jednej z pielęgniarek kazała umyć twarz, a przede wszystkim usta pacjenta. W tym momencie dojechała samochodem Figa.

- Jestem bardzo bliską osobą.
- Proszę sięść.

Lekarka, osłuchując chorego bardzo nisko się pochyliła. Niedopity fartuch rozchylił się i Tucza „zapuścił żurawia” na kształtne piersi.

- Nie jest chyba źle. Pacjent ma odruchy prawidłowe. Umieścimy go na kardiologii. Na razie nie widzę poważniejszego zagrożenia. Wykąpany zostanie na oddziale. Proponuję, żeby pani przywiozła przybory toaletowe.

Gdy Figa przyszła po godzinie, Tucza leżał w środku ośmiosobowej sali na dostawionym łóżku. Figa „zdębiała”. Ukochany podłączony do kroplówki palił papierosa i rozmawiał z nowymi kolegami. W tamtych czasach wolno było palić w szpitalach. Pogawędka była ożywiona i wesoła. Tak naprawdę była uciechona z tego, że Tucza jest w tak dobrej formie, ale ten papieros po kilkunastogodzinnej inhalacji gazem był wprost niewiarygodny. Pocałowała go delikatnie i wyszeptwała: potem mi wszystko opowiesz. Jak by nie było, jesteś nieznośny. Ten papieros... Ale kocham cię nad życie.

Niespodziewanie dobry stan zdrowia okazał się złudny. W ciągu kilkunastu godzin rozwinęło się zapalenie serca, osierdzia, opłucnej, czy płuc i czort wie czego jeszcze. Chory miał wysoką temperaturę. Oddziałem kierowały dwie panie z tytułami nauko-wymi. Byli to znakomici lekarze i znakomity zespół pielęgniarek. Prawdopodobnie wszystkich leczyli dobrze, ale Tuczę dziennikarza, odwiedzali ludzie oglądani w telewizji. Pacjent był poza tym sympa-tyczny, przystojny. Bardzo dbano o niego.

W izbie przyjęć przydzielono mu długą, śmieszna koszulę. Z tego powodu do każdego badania klatki piersiowej musiał ściągać koszulę i był goły. Zarówno lekarki, jak również studentki praktykantki musiały mocno udawać, że interesuje je jedynie stan zdrowia chorego. Figa odwiedzała Tuczę codziennie, czasami dwukrotnie. Gdy zobaczyła jakie wrażenie robi w czasie obchodu kochane, opalone ciało, natychmiast pojechała do domu po piżamę.

Ksiądz, który codziennie rano przychodził do szpitala, wyraźnie miał ochotę na rozmowę z Tuczą. Zbliżenie utrudniali lekarze i pielęgniarki, którzy krzatali się przy łóżku chorego. Kiedyś wykorzystał moment, gdy pacjent był sam, podszedł do łóżka i nachylił się.

- Powinien pan dziękować Bogu...
- Nie mamy wspólnych zainteresowań...
- Próba samobójstwa...
- Proszę odejść.

Tucza nasunął kołdrę na głowę. Następnego dnia klecha próbował pójść za ciosem. Gdy przyszedł rano, od razu skierował się do Tuczy. Ten nie odwrócił się. Siadł wygodnie na łóżku i nim ksiądz się odezwał rzekł spokojnie: „Powieм coś, co nasze stosunki określi jednoznacznie.

- Uważam, że wasz kościół może być dowodem na istnienie Boga.

Ksiądz spojrział z zainteresowaniem i nadzieją.

- Otóż jesteście organizacją tak nikczemną, tak przebiegłą, zachłanną, bezwzględną, zaborczą, podstęp-
ną, chciwą, wsteczną, a jednocześnie kipiącą odrażającą pychą, że mógł ją stworzyć jedynie szatan. A
skoro on istnieje, to prawdopodobnie jest też Bóg”. – Tucza z przyjemnością patrzył jak katabas gotuje
się w środku. Nic nie powiedział. Przeżegnał się i odszedł. Później omijał tę salę.

Na sąsiednim łóżku leżał mężczyzna, którego trakto-wano tak jakby już odszedł. Prawie się nie odzywał.
Nikt do niego nie przychodził. Eleganckie drobiazgi osobiste świadczyły o tym, że to nie byle kto. Po od-
prawieniu katabasa przez Tuczę powiedział:

- Jest pan pewny, że nie ma Boga?

- Nie jestem pewny, tym bardziej, że nie wiem co by robił. Wiem natomiast, że jest to zagadnienie fi-
lozoficzne, ściślej ontologiczne i próba rozstrzygnięcia może mieć jedynie znaczenie poznawcze.

- Ale jak postępować.

- Dla życia człowieka istnienie Boga nie ma większego znaczenia, bo nie sposób poważnie traktować –
stworzonego na podobieństwo ludzkie Boga – zawistnego o uczucia każdego człowieka, kapryśnego,
gdyż nigdy nie wiadomo kiedy ukarze, a kiedy przebaczy, w końcu drobiazgowego buchaltera, który pro-
wadzi bilans dobrych i złych uczynków dla każdego Kowalskiego. Taką postać mogła stworzyć tylko
ludzka megalomania.

Ale taki Bóg potrzebny jest tak zwanym idealistom, do realizacji celów wysoce materialistycznych, żeby
nie powiedzieć przyziemnych. Lęk przed śmiercią i takim Bogiem pozwala różnym kościołom rządzić
ludźmi bardzo skutecznie, za to bez żadnej odpowiedzialności. Zaleca się owieczkom wiarę, nadzieję i
miłość. Są to komunały tak wodniste, jak religijna nieskoń-
czoność. Pozwalają na każdą manipulację.

Dla mnie może istnieć jakowyś Demiurg, którego powołał Platon, ale w życiu tu na ziemi obowiązuje od-
powiedzialność, tolerancja, szacunek. Takie postawienie sprawy jest tak jednoznaczne, że Bóg i religie
nie są potrzebne. Rzecz jasna chodzi o odpowiedzialność w stosunku do ludzi. Przebaczyć może tylko po-
krzywdzony. Wszelkie uzurpacje są ordynarnym przestępstwem.

Zresztą co innego przebaczenie, a co innego zanie-
chanie odwetu. Bezmyślne przebaczenie legalizuje
przestępstwo. Natomiast trzeba pamiętać, że sprawca po latach jest innym człowiekiem, nie mówiąc już o
różnych pokoleniach. Przyjmowanie dziedziczenia winy jest niewyobrażalnym barbarzyństwem i wśród
współczesnych doktryn jedynie chrześcijaństwo usankcjonowało grzech pierworodny.

- To straszne, co pan mówi. Straszne dla katolika. Nawet niepraktykującego.

- System wartości może pochodzić z różnych źródeł. Ale trzeba go rozumieć i osobiście akceptować. Pra-
wo to zupełnie inna sprawa.

- Ludzie są tak dalece zagubieni we współczesnym świecie...

- Sprzyja temu sztuczna pokora i fałszywa skromność. Ludzkie możliwości są ogromne. Wiara we własne
siły i odwaga cywilna pozwalają czuć się na świecie „jak u siebie w domu”. Oczywiście pogłębianie wie-
dzy, również przez zasięganie rad jest normalne. Ale to dobry punkt wyjścia. Nadmierną pewnością siebie
znakomicie poskromi samo życie.

- Zmordował mnie pan. Ale cieszę się, że poznałem taki punkt widzenia, choć u mnie – jak to się mówi –
już „jest po ptakach”.

Nie ustalono jednoznacznie co było przyczyną zatrucia Tuczy. Samobójstwo nie wchodziło w rachubę.
Stwierdzono, że pokrętko gazu w kuchence źle funkcjonowało. Tucza twierdził, że odurzony w dziwny
sposób, chodził po pokoju, pił wodę nic nie czuł. Na szczęście nie zapalił papierosa. Dzięki temu nie było
wybuchu.

Zamroczony usłyszał jednak ożywione głosy na korytarzu i podszedł pod drzwi, których jednak nie był w
stanie otworzyć. Faktycznie znaleziono go stojącego w wejściu do mieszkania. Jakby nie było, spędził
kilka-naście godzin w komorze gazowej. Niewiarygodne. Lekarze nie słyszeli o podobnym wypadku.

To otarcie się o śmierć ukochanego, zrobiła na Fidze straszne wrażenie. Robiła wszystko, żeby zapom-

nieć upiora. Mimo, że nie było związku między alkoholem i tragedią, póki co stała się abstynentką. Wysoka temperatura utrzymywała się przez przeszło dwa tygodnie i jak się później okazało, tyle trwała niepewność, co do przebiegu i skutków choroby, a właściwie paru poważnych stanów zapalnych. Tucza był silnie osłabiony, ale samopoczucie miał dobre, tym bardziej, że salon towarzyski przeniósł się z ich mieszkania do szpitala. Stopniowo nabierał sił, ale wiadomo było, że parę tygodni mu pozostać na obserwacji. Napisał dwa opowiadania. Jedno natychmiast wydrukowano w tygodniku kulturalnym. Zaczął studiować literaturę do doktoratu z międzynarodowych stosunków gospodarczych.

Gdy w końcu wyszedł ze szpitala, był początek lata. Figa robiła oprawę plastyczną dużej wystawy. Postanowili, że po skończeniu tej pracy pojadą nad morze.

Ogromnie przeżyła ten wypadek. Oczywiście przede wszystkim chodziło o życie i zdrowie ukochanego, ale faktycznie był to problem życiowy. Otarcie się o śmierć zrobiło na niej straszne wrażenie. Powiedziała do Tuczy z powagą: „wiem, że nie była to twoja wina i że gorzała nie była przyczyną tej katastrofy, ale ja już jestem śmiertelnie zmęczona naszym sposobem życia. Kocham cię takim jakim jesteś, jeśli masz siłę, to taki pozostań, ale ja nie wytrzymam kolejnego wyczynu.

Jedziemy nad morze, a ja nie oczekuję, że nagle staniesz się kimś innym. Tamara chce pojechać z nami. Myślę, że się cieszysz.

Tamara była piękną kobietą. Pulchniutka, zgrabna brunetka o pięknej cerze i wielkim biuście. Zdolna malarzka. Akurat rozchodziła się ze znanym reżyserem. Faktycznie miała na imię Stanisława, ale to było strasznie pospolite. Była cała uduchowiona, ale było to sympatyczne. Tucza sądził, że Figa jej nie lubi gdyż była chłopomanką, mitomanką i nimfomanką. Ale już w szpitalu ze zdziwieniem usłyszał: „Tamara u mnie nocowała, Tamara to, Tamara tamto, byliśmy razem na plaży naturystów”.

Oczywiście nie miał nic przeciwko wspólnemu urlopowi. Pojechali kiedyś razem w góry, ale już pierwszego dnia Tamara zamieszkała z przystojnym instruktorem jazdy na nartach. Dawała do zrozumienia, że kobiety ją też interesują. Czyżby z Figą...

Wynajęli niby dwa połączone pokoje. W rzeczywistości był to duży apartament z alkową oddzieloną korytarzem. W dużym pokoju był ogromny tapczan, w alkwie stylowe metalowe łóżko.

Pierwszego dnia po kilkugodzinnej jeździe samochodem byli zmęczeni. Spotkali znajomych, ale po wesołej kolacji poszli spać. Tamara narzekała, że w alkwie jest duszno, ale w końcu usnęła. Obudzili się dość wcześnie. Była słoneczna pogoda. Tamara wstała wcześniej. Golusienka podziwiała z balkonu kłębiące się, wrzaskliwe mewy.

Golizna nie stanowiła w tym towarzystwie problemu. W tamtych czasach popularne były gry salonowe polegające na rozbieraniu się. Większość znajomych bywała na plażach naturystów. Tucza i Figa sypiali nago, tak że od początku nie krępowali się nagością. Tucza zauważył, że Tamara ma dokładnie wygoloną cipkę. Spytał czy to moda, czy wyrafinowana dbałość o higienę.

- Przyznasz, że to wygląda rajcownie. Mówiąc to stanęła w małym rozkroku i prowokacyjnie oburącz masowała dolną część brzucha. Tucza nie miał nic do powiedzenia. Jego fujara wyraźnie się ożywiła.

- Zachowujcie się jak prawdziwi naturyści – żartobliwie skarciła ich Figa.

Po śniadaniu poszli na pobliską dziką plażę. Było trochę ludzi. Golasy i tekstylni. Znaleźli duży grajdoł. Sądząc po śladach deszczu i pulchnym piasku – nie używany od kilku dni. Figa rozłożyła ogromne prześcieradło kąpielowe. Nim się Tucza zorientował, obie panie rozłożyły się tam.

Położył się na ręczniku, na brzuchu, głowę przykrył kapeluszem. Chyba się zdrzemnął.

Ocknął się, gdy usłyszał pojękiwania i przyspieszone oddechy. Figa niedbale leżała na plecach, a Tamara ustami pieściła jej sutki, które – już ściągnięte – wyglądały jak brązowe koreczki. Jej ręka wędrowała delikatnie po opalonym brzuchu. Figa lekko rozchyliła nogi. Tucza podniósł głowę i zobaczył grupę ludzi, którzy zmierzali w ich stronę. – Mamy gości. Blisko. Panie zaprzestały karesów. Tamara stanęła ostentacyjnie, ale jej nagość nie zrobiła na przybyszach wrażenia. Powiedzieli „dzień dobry” i rozłożyli się opodal. Za chwilę na golasa wszyscy pobiegli do morza. Była to jak się okazało rodzina z trójką kilku-

nastoletnich chłopaków. Tucza był w zasadzie zaskoczony. Figa nigdy nie okazywała cech lesbijki. Co prawda w gołych towarzyskich zabawach tańczyła z kobietami, niby to w żartach dotykała je tu i ówdzie, a Kapitan przy różnych okazjach głaskał ją po piersiach i pupie, kilkakrotnie wygalał jej włosy w pachwinach. Nawet żartowano, że jest nadwornym fryzjerem jej cipki. To co Tucza zobaczył w grajdole to nie była zabawa tylko wstęp do gry seksualnej, która miała się zakończyć spełnieniem i zaspokojeniem.

Był więc zdziwiony, ale nie budziło to jego protestu. Tym bardziej, że gra była jawna, na jego oczach. Prawdę mówiąc podniecało go to i interesowało. Nie pojmował jaką rolę mógłby odegrać w dalszym ciągu bachanalii, ale jasne było że dalszy ciąg będzie. Na plaży niewiele się już wydarzyło. No niezupełnie. Gdy goli młodzieńcy z sąsiedztwa poszli się sami kąpać, panie też zapragnęły ochłody. Zagadywały chłopaków. Tamary wygolona cipka robiła furorę. Chłopaki nie mogli ukryć zainteresowania, a ona położyła się na skraju morza i roześmiana tak machała nogami, że apetyczną dziurkę można było oglądać w różnych grymasach. Figa poczuła zazdrość, aby przywrócić równowagę klękła na mokrym piasku niby wznosząc budowlę. Przy okazji tak wypięła piękną pupę, że młodzieńcy zapewne dostali oczopląsu. Tucza bawił się znakomicie.

Ale, gdy powstawał ten tekst, Tucza uznał, że dalsza część tej przygody nie ma znaczenia dla całej opowieści. Nie mówiąc o tym, że cóżby mogło przyćmić Figi pupę.

Niedługo po powrocie znad morza, przed południem, gdy obydwoje byli poza domem, jakiś prymitywny złodziej włamał się do mieszkania. Były tam drogie meble, obrazy, przedmioty wartościowe, ale wykonane z niepozornych materiałów, jak cyna, brąz, miedź. Złodziej miał pecha – musiał zadowolić się dwoma starymi zegarkami, powycieraną marynarką skórzaną i przedwojennym aparatem fotograficznym.

Ale to się okazało później. Natomiast gdy Tucza wrócił do domu w południe zastał wyłamane drzwi i niewielki bałagan. Jeden zamek funkcjonował, więc zamknął drzwi i poszedł do pobliskiego baru, gdzie od rana przy piwie urzędowała miejscowa żulia. Wszyscy oni znali „pana redaktora”, na ulicy, gdy szedł sam było „uszanowanie”, w barze przybijano „piątkę”. Gdy Tucza szedł z Figą oprychy delikatnie się odwracały. Nie z braku szacunku, wręcz odwrotnie, sądzili, że piękna pani nie ma ochoty na pozdrowienia obwie-siów. Ale gdy Fidze nawaliła guma w samochodzie kilkaset metrów od domu nim się zorientowała

– „pani redaktorowa pozwoli zaraz koło wymienimy” i Figa odtąd patrzyła na lumpów z trochę mniejszym obrzydzeniem. ale gdy tamtego dnia wróciła do domu i zobaczyła kilku zbrodniarzy przy zabytkowym stole, na którym stały butelki z gorzałą – to stanęła jak wryta, zaniemówiła. Po chwili odwróciła się i wyszła z mieszkania. Tucza wybiegł za nią, próbował wytłumaczyć, że było włamanie i w związku z tym jest narada, dochodzenie. Takie wewnętrzne. Truskawka mówi, że o ile złodziej jest z okolicy to będziemy go mieli.

- Słuchaj mnie uważnie. Nie chodzi mi o włamanie. Zresztą na pierwszy rzut oka widać, że nic wartościowego nie zginęło. Mówiłam już że jestem wyczer-pana naszym niezwykłym życiem. Nie mam do ciebie żalu, ani pretensji. To były urocze, wspaniałe lata, ale musimy się rozstać. Włącznie z rozwodem. Ja po prostu nie mam siły. Żeby było łatwiej zrobimy to natychmiast. Nic się nie zmieniło. Kocham cię nad życie.

Wrócę za godzinę. Nie, pan Truskawka natychmiast zlikwiduje swoje biuro śledcze. Podziękuj za dobre chęci i wywietrz dokładnie mieszkanie. Oni przeraż-liwie śmierzdzą.

Nic już nie zdarzyło się istotnego w tym dwudziesto-letnim barwnym korowodzie. Rozwód szybko uzyskali. Figa dostała naręcze czerwonych róż. I tak cię kocham nad życie. Mieli łzy w oczach.

Tucza zamieszkał w gazowni, jak nazywano kawa-lerkę. Bardzo przeżywał rozstanie. Zarówno w sferze uczuciowej, jak również w sprawach codziennych. Dotychczas większość spraw życiowych miała odniesienie do Figi. Teraz był niewidzialny mur, od którego odbijały się wszystkie takie impulsy. Koszmar.

Bywają ludzie, którymi nic się nie przydarza. Być może nie dostrzegają pokus życiowych. Żyją bezpiecznie. Tucza szybko odkrył, że jego sąsiad za ścianą, emerytowany kapitan statków powietrznych, jest zna-

komitym kompanem. Nie tylko. Lotnik na działce pod miastem pędził bimber na własne potrzeby. Darmowy alkohol plus chandra.

Trzeba przyznać, że Tucza bronił się. Stawiał różne bariery, które funkcjonowały znakomicie, gdy sama obecność Figi wspierała ich skuteczność. Niestety, sytuacja konsekwentnie pogarszała się. Zapory były mniej skuteczne. Kiedyś lotnik wyjechał. Tucza już wcześniej łamał zasady. Sam popijał. Najczęściej piwo. Wówczas wieczorem też. Gdy sięgnął po ostatnią butelkę, zbliżała się pora zamknięcia jedyne go w pobliżu sklepu. Miał resztki pieniędzy. Puste butelki były cennym kapitałem. Napakował trzy reklamówki. Do sklepu było bliżej przez podwórka. Ten grzechot pustych butelek w nocnej ciszy był porażający. Jedno ucho się urwało. Wyleciały dwie butelki. Szedł dalej zdyszany, przerażony, że jazgot szkła słyszy cała dzielnica. Gdy wychynął zza garaży w pobliżu sklepu, ekspedientka chowała klucz do torebki.

- Proszę panią, niech pani otworzy. Tylko piwo. Nie chęć używać górnolotnych słów, ale to sprawa życiowa.

Naprawdę tak sądził. Ekspedientka spojrzała na grzechocące torby i odwróciła się bez słowa. Był porażony. Chciał coś zrobić, ocenić sytuację. Podszedł do trzepaka i oparł się. Był w każdej sytuacji optymistą, ale wówczas nie miał siły, przede wszystkim psychicznej, aby być kimkolwiek, a nawet czymkolwiek.

Z pobliskich krzaków wychylił się jakiś obwieś.

- Nie udało się. W tym sklepie są same nieużyte ścierwa. Nie martw się pan, poratujemy. Znamy się przecież. – Tucza nie był pewny. – Zostawi nam pan te butelki. Damy trzy pełne i parę łyków koniaku na drogę. Chodź pan, bo tu może przyjechać patrol.

Tucza obudził się w jakiejś pakamerze. Świtało. Nic nie śmierdziało, nie był to więc śmietnik. Odruchowo sprawdził portfel, portmonetkę, klucze. Wszystko było. Koło nóg leżała reklamówka. Zajrzał. Cztery butelki piwa. Jedną dołożyli skonstatował i zaczął sobie przypominać koszmarny marsz z grzechoczącymi butelkami, plecy wrednej ekspedientki. Przyjaciele... bo jak inaczej nazwać ludzi, którzy spieszą z pomocą nieznanemu, który myśli, że stoi nad przepaścią. Ugościli go jakąś niezwykłą miksturą. Trudno powiedzieć obrzydliwą, ale ten smak nie był dobrym wspomnieniem. Była skuteczna. Pili z butelki. Później chyba z następnej. Wywiązała się ciekawa rozmowa. Było ich trzech. Dwou wykształconych, chyba odczytanych. Szczęście, szczęśliwość, eudajmonia, nirwana. Ten, który zabrał Tuczę znad przepaści do pakamery, gdzie zaduma o szczęściu była zupełnie naturalna, po kilku łykach zaczął mówić ładnym językiem i mądrze, uczenie. Gdyby nie torba z czterema butelkami piwa, można było sądzić, że to mara.

Później, gdy przypominał sobie poczciwość tamtych ludzi i poranną rewizję, którą przeprowadził w swoich kieszeniach węsząc kradzież – zrobiło mu się bardzo głupio. Uległ bezmyślnie presji stereotypu. Śmietnik, lumpy, bandziory. W takich miejscach faktycznie stoją śmietniki, ale to była akurat altana. Wówczas prawdziwe lumpy były w eleganckich klubach, a bandziory tam gdzie brutalnie można wyrwać coś wartościowego.

Natomiast jego nowym kumplom można było przypisać wszystko, tylko nie brutalność. Byli taktowni, delikatni, mieli wyobraźnię i dobre intencje. Zaprzeczenie osobowości, które lansuje telewizja i często parlament. Tam kipi chamstwo.

Jeden z nich, niskim, głębokim głosem, ze smutkiem, ale też z godnością mówił: „Z wyboru żyjemy poza tą totalną przepieranką. Kto ma prawo powiedzieć, że nasze życie jest bezwartościowe. Ja martwię się, „że po Moskwie nie jeżdżą już sanie” – musiał się uśmiechnąć, bo głos się załamał – i z pogardą słucham, że ciągle gdzieś tam wyzynają się i torturują jedyne istoty obdarowane przez Stwórcę nieśmiertelną duszą”.

Skutki alkoholu mają usprawiedliwić całą autentyczną ludzką podłość, która wychodzi – fakt – po alkoholu, ale tak naprawdę zawsze, gdy ludzkie kanale czują się bezkarnie. Zresztą równie przerażająca może

być nadmierna ambicja, wiara w jedynie słuszny sposób życia. Zaśpiewał cicho, ale czystym, aksamitnym głosem, jakby dumkę kojarzącą się z Kaukazem.

- Moja matka była Gruzinką. Pokochała polskiego inżyniera. Z wzajemnością. Wiem na pewno, bo trudno sobie dziś wyobrazić, żeby ludzie odnosili się do siebie tak pięknie... Zginęli tragicznie... Nikt nie ośmielił się zadać żadnego pytania.

Tamten dalej snuł rozważania. – Parę miesięcy temu byłem w strasznym dołku. To była cała seria zawodów w sytuacjach na które nie miałem wpływu. Nie wierzę w złe moce, ale po każdym niefarcie byłem bardziej przerażony. Przestałem mieć do siebie zaufanie. Prawie. Ale ten strach niemal mną owładnął. Mam parę bliskich osób, ale przerzucenie na nich moich kłopotów nic by nie dało. To tak jak w kartach, czasami nieprzypadnie idzie, ale bywa, że masz na okragło „plażę”, a jak coś przyjdzie to jeszcze gorzej bo drugi ma oczko lepiej i tym bardziej umocysz. Nigdy nie „zalewam robaka” ale wtedy strzeliłem duże piwko. Lęki trochę się uspokoiły, wypilem jeszcze, powoli stawiałem się swoim przyjacielem, uwierzyłem w siebie, znalazłem słabe strony w otaczającej bezna-dziei, czyli swoje mocne punkty. Skupiłem się na tym. Byłem przekonany, że mogę to wykorzystać. Na drugi dzień nie wdawałem się z sobą w dyskusję. Po trzeź-wemu, twardo zacząłem rozgrywać według wczoraj-szego pomysłu. Udało się. Wyszedłem na prostą.

Bywa odwrotnie – włóczył się młody człowiek w eleganckiej, ale bardzo brudnej koszuli. Nazywali go Poetą. – Po wielu wysiłkach osiągasz cel i nie potrafisz się tym ciszyć. Wizja sukcesu jest już tak wysz-lifowa-na, przez kolejne szturmy woli, ambicji, pozbawiona kolorytu przez chwile zwątpienia, wreszcie niemal wyprana z realności, gdy walka przeciągnęła się w nieskończoność. Patrzysz na taki wymęczony sukces, jak na kamasze odziedziczone po przyrodnim bracie. Jest na to sposób. Podlejesz wyobraźnię, dasz ostrogę ambicji, jeszcze łyk – zaciągniesz kurtynę na miniony znój i zaczynasz kumać, że ktoś tu zmaj-strował niezgorszy numer. Prawdę mówiąc majster-sztyk. Nasączysz jeszcze dumę i jesteś królem świata. Tam i wówczas. To jest wiele warte.

Wspomnienie przyjacielskiej biesiady było krzepiące, ale spojrzenie na realia mogło powalić. Kiedyś nau-czyły go lumpy, jak otworzyć butelkę, kapslem z drugiej. Gdy przypomniał sobie i wykorzystał tę umiejętność, uznał, że jest to dobry omen. Na wszelki przypadek powtórzył operację. Zabrał torbę i po-szedł do domu.

Był przerażony. Dramatyczny rajd grzechotnika po piwo był ewidentnym zagrożeniem dla zasad, które pozwalały bezpiecznie balować. Na początek posta-nowił zawiesić spotkania z lotnikiem. Był zrezygno-wany, załamany. Bez Figi, przynajmniej w tle, nawet zabawa nie wydawała się atrakcyjna. Depresja działa-ła wstecz. Minione lata wydały mu się jałowe.

- Zaszyję sobie esperal i zacznę pozytywne życie.

- Mój ty guru, ale dałeś się zdołować.

Taką odpowiedź usłyszał od pięknej, niewidomej kobiety, której zalił się na bezradność, beznadziejność i brak chęci do życia.

Ale tamtego dnia, gdy jedynym pocieszeniem było to, że znalazł przyjaciół w potrzebie – próbował uładzić wszystko koło siebie. Zaczął od porządkowania mieszkania. To uspokajało. Efekty działania były natychmiast widoczne. Bardak stał się schludnym. Ładnym mieszkaniem, które przecież lubił. Przy oka-żji znalazł roczny abonament do filharmonii. Chodził sam, bo Figa nie gustowała w muzyce symfonicznej. Za tydzień był atrakcyjny koncert.

Najpierw cudowne otwarcie piwa kapslem o kapsel – teraz zapraszają mnie Mozart i Lutosławski. Naj-wyrażniej sprzyjają mi gwiazdy. Wnętrze filharmonii nie jest piękne, ale to była jego świątynia. Wielu bywalców znał z widzenia, niektórych osobiście, ale decydujące było przekonanie, że tam spotykają go jedynie doznania przyjemne, czasami wspaniałe. Przyszedł wcześniej, przechadzał się po hallu. Zauważył przy szatni kobietę w eleganckiej, krótkiej sukni, która nie zakrywała zgrabnych nóg. Stała tyłem oparta na białej lasce. Dech mu zaparło. Magda. Podeszedł zdecydowanie, Zaszedł z przodu. Zamiast znanych mu

pięknych zielonkawych oczu ciemne okulary. Twarz urodziwa, dzięki pięknie wykrojonym ustom ruchliwym – pogodna. Chciał zapytać poznajesz mnie? – ale ugryzł się w język. – To ja Tucza i delikatnie pocałował ją w usta, które natychmiast stały się aktywne.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Tucza, dodano 26.12.2013 09:34

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.